

STANISŁAW HELSZTYŃSKI

Nieznany Polsce gród Koszalin

Tam, gdzie wąska struga, zwana przez słowiańską ludność Pomorza piastowskiego Dersecina, przybliżyła się do góry Chełm, wznoszącej się 137 m. nad poziom pobliskiego morza, zbudowali Pomorzanie w czasach przedhistorycznych gród zwany Kosalice, zamieszkiwany snąc przez potomków jakiegoś Kosa, Kosala, czy Kosego. Inni wywodzą nazwę od słowa „gaszcz” lub „kuszcz”, stąd Kuszalin, miejsce po wyrybie zarosłe krzewami, dziś Koszalin.

Olbrymie obszary lasów, rzeczka, gród, góra Chełm darowane zostały w roku 1214 przez księcia Bogusława II klasztorowi Cystersów w Białym Buku koło Trzebiatowa, którzy na górze Chełm wzniesli kaplicę, sławne miejsce pątnicze na środkowym Pomorzu. Prawdopodobnie chcieli w ten sposób usunąć kult Bělboha, białego boga, kwitnący tu za pogańskich czasów. Od chwili, kiedy w 30 lat później okolica wraz z grodem przeszła w ręce biskupów w Kamieniu, stał się Koszalin nie tylko miejscem pielgrzymek na górze Chełm, lecz także bastionem niemieckości na Pomorzu. Tu właśnie, począwszy od góry Chełm, w kierunku na wschód ciągnęły się posiadłości Pomorza Wschodniego, kraj Samborów i Mestwinów, związanych z Polakami. Co na zachód szło, ciążyło ku Niemcom.

Ponieważ Koszalin stał na granicy, biskupi dbali o to, aby był warowny. W roku 1266 biskup Herman von Gleichen wydał dokument fundacyjny grodu. W krótkim przeciągu czasu, bo już w roku 1292, mieszkańcy opasali miasto fosą, murem i basztami. W postaci tej przetrwał gród zasadniczo do roku 1815, do zerwania murów, częściowo zresztą opasujących miasto środkowe do dziś dnia.

Sądząc z tego, co zostało, gród był topograficznie interesujący i piękny. Obfitość wody Derseciny, płynącej z jeziora Lubiatowskiego, pozwałała napędląć szerokie fosy głębokim strumieniem. Na północy u stóp żeńskiego klasztoru cysterskiego, gdzie dziś leży szeroka tafla stawu zamkowego, zastawiono bieg rzeki i zbudowano młyn wodny. Dziś młyn tutaj również się znajduje. Woda opływała także Bramę Wysoką, gdzie dziś stoi liceum dla dziewcząt, i Bramę Nową, gdzie kolej i dworzec. Śladów pierwotnego grodziszca słowiańskiego należy szukać na północ, na zewnątrz murów grodu niemieckiego, wzdłuż Derseciny i ul. Garbarskiej. Bądź co bądź wybór miejsca, kierunek przyszłego grodu, należy do autochtonów, do Pomorzian. Oni byli pierwszymi właścicielami ziemi, oni upatrywali stosowne punkty pod osiedla: Niemiec ciągnął za pomysłem Słowian.

Co jest w Koszalinie słowiańskiego? Z pewnością nie kościół Mariacki, stary, z czerwonej cegły, poważny, dostojny gmach, po roku 1300 zbudowany. Mury są niemieckie, ale część rzeźb świętych pochodzi z pierwotnego kościółka na górze Chełm, zwłaszcza wielki krucyfiks u wejścia do baptysterium, a jeszcze pewnie krucyfiks mały znajdujący się w zakrystii. Rzeźba drewniana ma u góry w głowie lejkowaty otwór, skąd idą przewody do oczu i ran w dłoniach i stopach. Czerwonym płynem namoczona gąbka sączyła krew do oczu i ran, gdy się zaczął odpust na św. górze Chełm, za pomorzańskich czasów, przed reformacją, podczas której sławna świątynia na Chełmie uległa likwidacji i to szybkiej.

Jest jeszcze jedno miejsce w grodzie Koszalinie, które nas, Polaków, przyciągać musi, mianowicie resztki zamku, gdzie rezydowali słowiańscy książęta pomorscy. Po zaprowadzeniu reformacji członkowie Piastów szczecińskich zastrzeżli sobie godność biskupów kamińskich chcąc zabezpieczyć olbrzymie latyfundia tych książąt Kościoła dla członków swej rodziny. Osiągnawszy ten cel, porzucili starożytną rezydencję biskupią w Kamieniu zbyt niemierną przypominającą i przenieśli się do Koszalina.

Zapoczątkowało to erę świetności miasta od 1556 do 1622. Znac, że słowiańska krew płynęła w żyłach tych książąt świeckich, choć dostojników z mitrą biskupią. Żyli szeroko, budowali, przekształcali miasto, zrobili z niego świetny ośrodek kultury i dworskich manier. Mieszkańcom miasta i okolicy, ciężkim północno-zachodnim Germanom używającym języka dolno-niemieckiego wydał się dwór książęcy jakby bajką z zaczarowanego świata.

Już pierwszy książę, buńczuczny i dumny Jan Fryderyk (1543—1600), gdy tylko się pojawił w Koszalinie w roku 1569, kazał zerwać budynki klasztoru Cystersek, opustoszałego zresztą za przyczyną Lutry i zbudował rezydencję godną Piastów. Gmachy, pawilony, obszerne podwórce, ogrody zamkowe, zwierzyńiec, kościół książęcy, to wszystko powstało, w pierwszych kilku latach jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Gdy się książę zjawiał, miasto grzmiało od wrzawy i gwaru. Sokoły, rycerstwo, turnieje szły jednym ciągiem. Dziwili się Niemcy, gdy książę Piast się bawił.

Nie mogli koszalinacy lepiej trafić, jak właśnie otrzymując Jana Fryderyka na pierwszego biskupa-księcia. W Koszalinie bawił on krótko, bo od 1569 do 1574, gdyż wnet

odwołał go losy na księcia Szczecina i pana całego Pomorza. Był on jedną z najwybitniejszych indywidualności książąt piastowskich w Szczecinie. Za młodu studiował w Gryfii. Potem podróżował po Europie. Na Węgrzech dowodził ramię w ramię z hr. Zrinym oddziałem wojsk przeciw Turkom. Po epizodzie koszalińskim, który był, dla małego miasta istnym przebudzeniem z letargu, kroczył Jan Fryderyk coraz śmielej w szeregi najbardziej energicznych książąt swej epoki. W Szczecinie tak jak w Koszalinie kazał zburzyć stare zamczysko Piastów — jakaż niepowetowana dla nas strata — i zbudował nowe gmachy, wypełnił je dziełami sztuki, które zamawiał u najtęższych, współczesnych mistrzów. Zbudował poza Szczecinem nową rezydencję letnią, w której przebywał otaczając się księgami, obrazami, rzeźbami, zakochany w swej młodziutkiej żonie, — postać przypominająca do złudzenia współczesnego kuzyna krakowskiego, Zygmunta Augusta.

Taką to figurę wybitną dane było Koszalinowi mieć przez parę lat pośród siebie. Naprawdę błysnął on nad Derseciną jak gwiazda płomienna na spokojnym niebie. Jan Fryderyk, fantasta, choraży wojsk cesarskich, naśladowca Filipa II hiszpańskiego, arbiter elegantiarum, mecenas artystów — i Koszalin! Gdyby pobyl tutaj dłużej, oczom naszym po tym Piaście jawiłby się ogrom przemian. Miasto wyglądałoby inaczej. Zrobiłby z niego mały Kraków, Słupsk czy Szczecin.

Następca Jana Fryderyka, książę Kazimierz, również okazał się prowadzić. Zajechał w roku 1574 z orszakiem, z tętentem, kazał sobie złożyć uroczysty hołd i zaczął prowadzić dwór na wielką skalę. Przybyło z nim mnóstwo dworzan swoich i cudzoziemskich. Zamek dostał nowe urządzenia, wieża zamkowa zegar z hejnałem, ulice nowe nazwy: Książęca, Zamkowa, Junkierska, Rycerska — młody Medyceusz rządził Koszalinem. Letnią rezydencję wybudował nowy pan w pobliżu morza, niedaleko naszego dzisiaj Złotobrzegu, kapliczka bałtyckiego u stóp morza, letnią rezydencję nazwaną — zupełnie jak u polskich Piastów — Kazimierzem. Tam spraszał, bywało, całe miasto, mieszczan z żonami i córkami, gościł ich, karmił i poił, a gdy brakło płynnej gotówki w kasie, szedł skarbnik księcia do zarządu miasta: takiemu panu nigdy nie godziło się odmawiać. Ba, trzeba było odwzajemniać się za gościnę, a więc nowe serie balów i przyjęć w samym cichym dotąd Koszalinie. Na ratuszu, który stał w środku rynku, gdzie dziś sterczy zniszczony pomnik Fryderyka Wilhelma I, otwierały się podwoje. Setki srebrnych pucharów; z których słygał skarbiec miasta, znoszono na stoły. Uczta zaczęła się od nowa, w stylu renesansu.

Od roku 1602 do 1618 rezydował w Koszalinie Franciszek I, książę-biskup kamiński, synowiec Kazimierza, wielki miłośnik polowania. Odbudował on kaplicę zamkową, stary kościół pocysterski, wznosił pałacyk w ogrodzie zamkowym, założył tor dla jazdy konnej; goniono tam i strzelano do celu. Najbardziej upamiętnił się zamówieniem malowideł do kaplicy zamkowej. Sprowadziwszy mistrzów holenderskich, kazał ozdobić ściany kaplicy scenami z dzieł swych piastowskich ojców. Szczególnie Bogusław X, pradziad, natura bujna, pątnik do Jerozolimy, dostarczył Kazimierzowi wielu tematów do tych malowideł. Koszalinacy pamiętali tego księcia. Wiedzieli, ile pieniędzy kosztowała ich ojców awantura w roku 1475, kiedy uniesieni gniewem na kilku dworzan mieszczanie napadli na zamek w Canowie obok Koszalina i wzięli księcia do niewoli. Bogusław X nie protestował, pozwolił się przywieźć na drabiniastym wozie do miasta, lecz gdy sprawa się wyjaśniła, gdy mieszczanie ochłonęli i z wszystkich osad kraju nadciągnęli rycerze na ratunek księcia, ze śmiechem na ustach nałożył mieszczanom w Koszalinie 3.000 guldenów kary i podarki dla dworzan i ciężki ładunek srebra dla obrażonej księżnej.

Jeszcze jeden, ale już ostatni książę z rodu Piastów mieszkał w Koszalinie. Był to Ulryk, wielki miłośnik turniejów, ćwiczeń rycerskich i strzelania do celu. Przebywał częściej w Szczecinku niż w Koszalinie. Wybudował tam nowy zamek, dziś nie istniejący. Atmosfera Koszalina nie odpowiadała jego gustom. Mieszczanie Koszalina znani byli z ciężkiego dowcipu, z fatalnych pomysłów i pechowości. Bili się w średniowieczu z Kołobrzegiem, z Korlinem, zniszczyli klasztor w Bukowie. Za wszystko przychodziło im w rozrachunku ostatecznym płacić, przeproszać, ponosić konsekwencje. Byli przedmiotem drwin całego księstwa.

A pracowali biedacy w pocie czoła. Rzemieślnicy, złączeni w cechy, wyrabiali sukno, piwo, różne sprzęty z drzewa, szkuty do połowu ryb na jeziorze Jamno i na morzu. Na placu św. Mikołaja modlili się do patrona fal, w kapliczce dziś zniszczonej. W skutkach zapuszczali się aż po Danię i po Szwecję na połów śledzi. Do Hansy bali się zapisać, bo zbyt drogo kosztowało. Dopiero książęta Piastowie ich rozfusali i nauczyli dworniej żyć, pole-



jący siebie i innych nie może lekceważyć tak doniosłych ułatwień technicznych. Podobny jest bowiem do obłąkanego mikrobiologa, który bierze udział w pracy naukowej, uczestniczy w poszukiwaniach badawczych, z zasady nie posługując się mikroskopem. Poziom techniczny, poziom sformułowań sporu idealizmu z materializmem w ujęciu ks. Piwowarczyka datuje się sprzed stu lat. Tak do prawdy nie można. W tym ujęciu większość problemów i pytań szanownego autora — to są pozorne problemy i źle postawione pytania.

Ks. Piwowarczyk pisze: „...Nie da się naukowo udowodnić, że „istnieje tylko materia“... Wszyscy rozsądni ludzie wiedzą o zależności ducha od materii, codzienne doświadczenie przekonuje ich o tym“. Co to ma znaczyć? Albo to jest słowne nieporozumienie, albo obliczone na czytelników „Rycerza Niepokalanej“. Codzienne doświadczenie bezpośrednio nie pozwala sprawdzić żadnego twierdzenia ogólnego. Ani że wszystko co istnieje jest materialne, ani że wszystko co istnieje jest duchowo-materialne. Bądźmy uczciwi w dyskusji. Codzienne doświadczenie nie pozwala sprawdzić nawet znacznie skromniejszych zdań ogólnych, nawet, że **wszystkie** wrony są czarne.

Jesteśmy natomiast w stanie tą słuszną drogą sprawdzać zdania szczegółowe, które wolno nam traktować jako konsekwencje logiczne zdań ogólnych, całych systemów teoretycznych. Tak sprawdzamy ogólne teorie metodą dedukcyjną. Ten stan rzeczy wymaga specjalnie poprawnej i rygorystycznej budowy systemów teoretycznych, aby umożliwić w ogóle wspomniane operacje logiczne. Toteż dla rozstrzygnięcia podstawowych zagadnień ogólnych nie możemy weryfikować czy zaprzeczać konsekwencji byle majaczenia prywatnego zdrowego rozsądku — kontrolujemy konsekwencje teorii naukowych, zbudowanych z całym rygoryzmem, wedle wymagań od lat doskonałej techniki naukowej, dostosowane do wymagań ostrożności formułowań, skrupulatności badań, obiektywizmu, krytyczności umysłu. Otóż empirycznie poprawne są konsekwencje nowoczesnych teorii fizycznych. Te zaś opierają się jasno i prosto na założeniach, w których o duszy i duchu nie ma mowy. Czy jest mowa o materii i tylko o materii? Czy można naukowo udowodnić, że istnieje tylko materia? Otóż to są źle postawione pytania, to jest średniowieczna niedołączna technika rozważań filozoficznych.

Niestety, zainteresowania filozoficzne, a zwłaszcza metodologiczne w Polsce były zawsze niedostateczne. Filozofia kultury dzisiaj stała się modną. W obliczu zasadniczych decyzji, wobec których stoi dziś nasze społeczeństwo, te ogólne problemy nabrały aktualności dla wielu. Tymczasem przygotowanie do radzenia sobie z tymi zagadnieniami jest właściwie żadne. Muszę więc zacząć od nieco belferskich wyjaśnień.

Empirycznie rzecz biorąc nie można mówić o myśleniu poza językiem. Wszelki język tworzy system o swoistych dyrektywach,

brak i mechanistycznie materialistycznych teorii kultury (współcześnie u wiedeńczyków — neopozytywistów). Dedukcyjne sprawdzenie poprawności tych systemów przez kontrolę ich konsekwencji byłoby pracą na wiele pokoleń. Nie warto jej podejmować, jeśli się nie jest pewnym, czy język danej teorii odpowiada wymaganiom języka naukowego, czy budowa danej teorii odpowiada formalnym rygorom empiryzmu.

Żeby móc sądzić różne filozofie kultury, trzeba znać metodologię nauk humanistycznych. Na to nie ma rady. Nie mogę streszczać w artykule wyników wielu tysięcy stron rozważań. Mogę tylko odesłać do odpowiednich źródeł. Trzeba się uczyć, przeminął wiek złoty.

Krytyka metodologiczna, typu Rickerta, Diltheya, Troeltscha, Webera, Durkheima, wykazała całkowitą pozanaukowość naturalistycznych i tradycyjnie psychologizujących koncepcyj kultury.

Natomiast krytyka neopozytywistyczna (Carnap, Popper, Kraft, Neurath) wykazała to jasno w stosunku do wszelkich koncepcyj spirytualistycznych i neopsychologizujących (typu Sprangera). Języki tych teorii nie odpowiadają rygorom języka nauki (jak je charakteryzuje Carnap, Tarski, Popper). Krytyka metodologiczna, tychże neopozytywistów i konwencjonalistów francuskich wykazała zaś, że humanistyka stroniąca od wszelkich teorii, tylko opisująca — w ogóle nie poddaje się sprawdzianom sensowności języka. Może jest wrzuszająca lub nudna, ale nie może być ani prawdziwa, ani fałszywa.

Natomiast w świetle tej samej krytyki marksistowska teoria kultury jest formalnie poprawna. To wiele. Te zaś jej konsekwencje, które w praktyce życia sprawdzimy, powoli jedna za drugą popierają tę jasną teorię argumentami empirycznymi. Ta praca empirycznej weryfikacji musi trwać.

Współczesna metodologiczna krytyka nauki uczy nas, że możemy mieć zaufanie do marksistowskiej teorii kultury. Natomiast nie możemy przywiązywać wagi do innych teorii dotychczas istniejących. Przeciwnikom marksizmu nie pozostaje nic innego jak zbudować nareszcie poprawną, choć na biegunowo różnych zasadach opartą teorię kultury. Może dokonają tego cudu!

Materializm dialektyczny jest formalnie poprawnym uogólnieniem także twierdzeń marksistowskiej teorii kultury. I tyle za nim przemawia. Marksistowskiej teorii kultury nie da się obalić, jak to próbuje ks. Piwowarczyk, referując jej materialistyczne uogólnienia i przeciwstawiając im swoje niezłomne przekonanie, że jest inaczej. Ale odwrotnie weryfikując szczegółowe konsekwencje marksowskiej teorii kultury uzasadniamy ją samą. Na jej zaś zasadności opieramy sprawdzenie zasadności wynikających z niej uogólnień tj. materializmu.

Natomiast teorie dualistyczne nie dadzą się uogólnić z jedynej istniejącej poprawnej teorii kultury — z marksizmem. To przeciw nim przemawia. I to dla ostrożnego umysłu starczy. Twierdzą, że nie ma lepiej metodologicz-